

Kurier Wileński | Wincuk z wesołą „gębulką” przez codzienność życia

Koncerty Wincuka, czyli Dominika Kuziniewicza nie potrzebują reklamy. Na najbliższe dwa zapowiedziane występy w Domu Kultury Polskiej w Wilnie — 20 stycznia — bilety rozeszły się jak przysłowiowe świeże bułeczki. Szczęściarzem będzie ten, kto jeszcze dostanie bilet na wieczorny koncert (godz. 18.), bo na godzinę 15 nie ma żadnego wolnego miejsca.

Zresztą tak jest zawsze, kiedy na scenę wychodzi Wincuk w charakterystycznym stroju podmiejskiego franta, z czapką na bakier. I z uśmiechniętą „gębulką” zwraca się do widowni:

„Witajcie wy kochanieńkie moje!”. Tak jest lat równo trzydzieści — taki to bowiem jest jubileusz działalności

twórczej jedyne go gawędziarza Wileńszczyzny. Właśnie 20 stycznia obchodzić będzie tę datę.

Oczywiście na scenie. Bo scena to dla niego życie. Dla niej Dominik Kuziniewicz poświęcił już 42 lata i jak mówi, jeżeli Bóg pozwoli, to za osiem lat będzie miał złoty jubileusz.

Dziś się cieszy, że jego postać sceniczna — Wincuk, który się narodził 30 lat temu, ma swój jubileusz — 30 lat — jako gawędziarz.

Jako aktor Dominik Kuziniewicz „rodził się” już w klasie pierwszej, szkoły na Krupniczej, (dawna 11), gdzie wystawiali różne scenki „Jaś i Małgosia”, „Czerwony Kapturek” i inne. A potem pani od matematyki Łucja Noniewicz, która sama w Teatrze przy Klubie Kolejarzy grała, zachęciła, by przyszedł do tego zespołu teatralnego. Przyszedł i został tam na 17 lat.

— Pierwsza moja rola w teatrze była w sztuce „Sługa dwóch panów” — Trufaldino — przypomina Dominik. — Tak się zaczęło. Tu, w teatrze, wypatrzył mnie mój, jak żartuję, ojciec „chrzestny”, czyli znany poeta wileński, a obecnie mieszkający w Polsce Romuald Mieczkowski. Pracował wówczas w radiu i on to zaproponował, bym czytał gawędy.

Pierwszy rok czytałem teksty śp. Stanisława Bielikowicza, a gdy one się skończyły, byłem zmuszony pisać swoje — jak zwykle z ogromną dozą żartu — mówi Kuziniewicz.

Na ich napisal?



Duet sceniczny znanych i jakże lubianych gawędziarzy: Wincuk (Dominik Kuziniewicz) z Ciotką Franukową (Anna Adamowicz) Fot. Marian Paluszkiewicz

nie ich napisać:

— Dotychczas nie liczyłem — odpowiada i dodaje. — A wiesz, spróbujemy zrobić to teraz.

Za chwilę zaczynają się nasze obliczenia. Od 1984 roku prawie co tydzień koncert. Średnio 50 rocznie, na pewno jakieś 10 tysięcy się zebrało — tak sobie sumujemy. Ale gawęd to było o wiele więcej, bo przecież 28 lat Dominik Kuziniewicz pracował w polskiej audycji Państwowego Litewskiego Radia, 6 lat w Radiu Znad Wili.

Mylimy się w obliczeniach, ale oboje dochodzimy do wniosku, że dziś można byłoby Wincuka już i do Księgi Guinnessa wpisać, bo nie było jeszcze żadnego gawędziarza — ani w Polsce, ani w Ameryce, ani w przedwojennym Wilnie — o takiej rozciągłości czasowej.

I znów cofamy się do lat odległych, kiedy to z Teatrem Polskim prowadzonym przez panią Irenę Rymowicz bawił w Lidzbarku Warmińskim. Wtedy Dominik Kuziniewicz grał Zagłobę w „Zagłoba swatem” opartym na utworach Henryka Sienkiewicza. Poznał wtedy Władysława Strutyńskiego, drugiego swego polskiego „chrzestnego”.

Dzięki moim „chrzestnym”, narodziłem się jako gawędziarz. Oni to mnie zachęcili, bym kontynuował tradycję piewcy folkloru wileńskiego, gawędziarza Stanisława Bielikowicza występującego pod pseudonimem Wincuka Dyrwana, który między innymi był rodem ze Święcian, a potem mieszkał właśnie w Lidzbarku Warmińskim.

— Łatwo powiedzieć: kontynuuj. Ale przecież potrzebne były teksty. Nie z dobrego życia zacząłem je pisać — z uśmiechem mówi Kuziniewicz.

Zamyśla się i po chwili mówi dalej:

— Nasza gwara zanika. Na miejsce gwary wchodzi mieszanka językowa, coraz więcej rusycyzmów, a prawdziwej wileńskiej gwary już prawie nikt nie zna. Na szczęście nie jestem teraz jeden — Ania Adamowicz mi pomaga.

Przeskakujemy na temat gwary wileńskiej, której Dominik jest doskonałym znawcą. Na ten temat ma swoje uargumentowane zdanie.

— Oczywiście, niektóre rzeczy są stylizowane — nie ma w 100 proc. wszystkiego autentycznego, ale nie jest to wymyślane z głowy, jak niektórzy mówią, że „językiem plażę prosto, aby plażyć”. Gwarę poznałem od moich rodziców, szczególnie od matki, której rodzina pochodzi z rejonu szyrwinckiego. Z Muśnik, które znajdują się o krok od dawnej granicy dzielącej Polskę i Litwę. Więc słów i powiedzonek z tych okolic nasłuchałem się od mamy, bo ciągle nimi przeplatała „wileński” język polski. A jeżeli chodzi o to moje „gadanie” — to podobno dziadek Wincenty, którego, niestety, słabo pamiętam, a po którym mam imię sceniczne, był takim wiejskim bajarzem — przypomina Kuziniewicz.

Kiedy na scenę wychodzi Wincuk, zawsze jest wesoło, radośnie. Ale życie nie rozpieszcza bynajmniej ulubieńca publiki. Nie omijają go biedy i zmartwienia. O nich woli nie mówić, ale przecież od lat prawie 20 opiekuje się troskliwie chorą żoną — Marią, która od kilku lat wcale nie chodzi, a i sam przed paru laty z powodu cukrzycy stracił nogę i korzysta z protezy.

Nawet wtedy, kiedy był na wózku inwalidzkim, wystąpił w marcu na corocznym Kaziuku w Lidzbarku Warmińskim, mieście, które nazywa swym drugim rodzinnym.

Jego wiarna partnerka sceniczna ciotka Franukowa, czyli Anna Adamowicz z wdziękiem serdecznej kobieciny ze wsi podwileńskiej tak się nim opiekowała podczas koncertu, że może nawet nie wszyscy widzowie zrozumieli, że ma amputowaną nogę.

A potem ludzie, którzy go kochają przyszli mu z pomocą. Tak powstał pomysł koncertu pt. „Wielki powrót Wincuka”. Artyści wielu zespołów, którzy z Dominikiem przejechali niejeden tysiąc kilometrów po Wileńszczyźnie, Polsce, Anglii, Stanach Zjednoczonych, kiedy to Wincuk z Pustaszyszek żwawo wchodził na scenę, a i w podróży był pomocny innym, postanowili, że pomocą w biedzie może być specjalnie zorganizowany koncert. Tak też się stało. Dom Kultury Polskiej wzięło na swoje barki sprawę organizacji



Luba Nazarenko, wykonawczyni pieśni ludowych i rosyjskich romansów nieraz śpiewała na koncercie Wincuka Fot. Marian Paluszkiwicz

koncertu, a chętnych do występu nie zabrakło.

Ale najwięcej pomogła Macierz. A kiedy mówimy o Polsce to na pierwszym miejscu Dominik wymienia Lidzbark Warmiński, gdzie doznał tyle ciepła rodzinnego, życzliwości oraz wsparcia. Doznał jej tyle od Jacka Protasa, marszałka Województwa Warmińsko-Warmińskiego, burmistrza miasta Artura Wajsa, dyrektora Domu Kultury Jolanty Adamczyk, że jak mówi i rodzona matka więcej by nie mogła zrobić, co zrobili ci ludzie.

— Mam krewnych w Gdańsku, ale w żadnym innym mieście polskim nie mam tylu „krewnych” jak na Ziemi Warmińsko-Mazurskiej. Każdy raz, gdy tam jestem, ludzie mnie witają jak najbliższego członka rodziny. Przyjaciół ma Dominik wiele. Nie tylko w tym mieście i nie tylko w Polsce. Bo sam kocha ludzi. Bez nich nie umie żyć i nie może. Dlatego chce jak najczęściej być na scenie i w ten sposób wyrażać wdzięczność tym ludziom.

Bo, jak znów żartuje:

— Kto mnie lubi – to chcę pokazać, że żyję, a kto mnie nie lubi (a kogoż to wszyscy kochają!) niech się przekonają, że ich niedoczekanie, by mnie nie stało...

Na koncert jubileuszowy 30-lecia pt. „Spotkanie z Wileńskim Wincukiem” (program, którego celowo pozostawiamy w tajemnicy), przybędzie wiele zespołów, sympatyków jego twórczości, wiele przyjaciół, których przyjaźnią lat się szczyli oraz nowo poznanych. Wymienimy tylko dwa zespoły spoza granic Litwy, jaki widz wileński będzie miał okazję obejrzeć. To „Sławianskij Styl” z Mińska oraz Kapela Warszawska z Targówka. No, ale o nich, jak też innych zespołach — oczywiście po jubileuszowym koncercie, który jubilat szykuje od dawna. Poprowadzi go ze swą Franukową, czyli Anną Adamowicz.



Dominik wraz z córką Basią, z którą w wielu wojażach artystycznych sprawdzili się jako niezawodni partnerzy Fot. Marian Paluszkiewicz

